

z tyłu, które dotyka spróchniałego ogrodzenia studni... Och! są tam szczeliny... Dzięki im można znaleźć w lecie dobry spoczynek na noc, bo nawet policja zostawia tam w spokoju biednych.

Złota moneta przeszła do ręki cyganki. Uważała, że już wszystko mi powiedziała, gdyż pozwoliła mi oddać się. Przyspieszyłem kroku i wyznać muszę, że nie tyle chodziło mi o przyjsie na czas do hotelu na śniadanie, ile o oddalenie się jak najprędzej od starej cyganki. Nas Anglików nazywają flegmatykami. Nie rozumiem dlaczego, gdyż w swych podróżach po całym świecie mogłem stwierdzić, iż żaden naród nie jest mniej od nas flegmatycznym, żaden nie odznacza się taką wesołością, prawie dziecięcą. Z pewnością, niektóre rasy są więcej skłonne do ruchów, do zbytecznych zupełnie, zewnętrznych manifestacji, lecz czyż to można nazwać flegmatycznością, że ktoś nie wymachuje rękami, nie kiwa głową i całem ciałem, jak człowiek w konwulsjach.

A jednak podczas śniadania byłem bardzo podniecony. Kręciłem się na swem krzeselku, jakby to był izolator naładowany elektrycznością o wysokim napięciu. Wiedziałem już, gdzie jest Studnia Maurytańska, lecz nie wiedziałem, co mam począć teraz. Czy mam zebrać całą swą cierpliwość i czekać nadejścia nocy, by dostać się do oberży Kamoensa i tajemniczego ogrodzenia i tam przychwycić X 323, czy też zrobić sobie zaraz tę przyjemność i prosto od stołu udam się na zrekonoskowanie terenu? Ciekawość skłaniała mnie do drugiego zamiaru, lecz rozum dopuszczał tylko pierwszy zamiar. Należało unikać wszelkiego niebezpiecznego kroku, który mógłby wskazać X 323, że już wpadłem na jego ślad. Wobec takiego człowieka jak on, należało być przygotowanym na wszystko i nie wątpiłem wcale, że natychmiast byłby poinformowany o mej obecności przy Studni Maurytańskiej. A więc słuchajmy rozumu i nie chodźmy tam teraz.

Dobrze, lecz czem zajmę swe długie, prawie nieskończone popołudnie? Godzina czasu zejdzie mi na załatwieniu depeszy *Timesa*, którą oddano mi po powrocie. Redaktor donosił, że oczekują niecierpliwie mej kopii, że położenie polityczne gmatwa się z dnia na dzień.

„Rzecz, o której pan już wie — pisał — staje się coraz wyraźniej główną osią całej Europy“.

Dam odpowiedź sybiliczną... Przekonany o doniosłości dokumentu, zmuszony jestem przez lojalizm do milczenia. Wszystko będę wiedział i w bliskiej przyszłości, może nawet jutro będę już zwolniony z obowiązku milczenia; po drutach i bez drutów wysłę sensacyjne wiadomości, z powodu których *Times* dnia tego będzie odbity w milionach egzemplarzy. Redaktor będzie zachwycony. Sam zaniosę depeszę do *Telegrafo Central*. Tak, lecz potem skąd wezmę cierpliwości, by czekać nadejścia nocy? Działać jest przyjemnością, lecz stać z bronią u nogi i patrzeć na wlokące się wolno godziny jest największą męką. W najmiłszy jednak sposób uwolniła mnie od niej wdzięczna Concepcion. Stało się to tak: Podnosiłem się od stołu możliwie jak najwolniej; gdy się ma w pewnym okresie czasu dokonać oznaczonej liczby czynności, należy poruszać się z najmniejszą szybkością, a przez to zużywać jak najwięcej czasu.

— Zapewne dla senora Maksa Trelame — rzekł za mną pytający jakiś głos.

Obróciłem się i ujrzałem grooma hotelowego z listem w ręku.

— Jeżeli jest napisane moje nazwisko, to nie zapewne, lecz z pewnością ten list jest dla mnie. Chłopiec potrząsł głową.

— Niema żadnego nazwiska... Proszę senora... Adres rzeczywiście był dziwny. Na kopercie widniało tylko: „Al senor Inglese“.

— Obecnie jednak — mówił dalej służący — senor jest tylko jeden Anglik w hotelu, myśleliśmy więc, że zapewne — położył akcent na tem słowie — jest to przeznaczone dla senora.

Wziąłem list, nie odpowiadając nic temu zbyt logicznie rozumującemu malcowi... Nie dyskutuje się z niższym od siebie, który ma rację. Papier elegancki o miłym, dyskretnym zapachu; och! liścik

od sztywnej kobiety. Była to jednak omyłka, z której wywiódł mnie zaraz niezgrabny i niewyrobiony charakter pisma. ...Służąca używająca do korespondencji papieru swej pani. Otworzyłem i nie omyliłem się. Ujrzałem podpis: Concepcion Allaracos.

Co za projekt powstał w głowie tej madryckiej pokojówki?

Zacząłem czytać nie bez pewnej jednak trudności z powodu ortografii. List ten wyjmuję teraz do przepisania ze szkatułki, w której leżą wszystkie bolesne pamiątki po tej, której już nie będzie nigdy.

„Senor mi przebaczy, że niepokoje jego zająca. Gdysz senor jest dobry i wi, że ja chce szczęścia dla pani. Dzisiaj rano rozmowa senora uciszyła smółki pani; teras rozpacza jagby jej syrcie nie czoło rzadnej ulgi. Ja jom kocham i nie moge patszeć na jej nie-szczęście i wskótek czego pisze do senora. Jedzim do parku na spacer. Siondniemy w ogrodzie angielskim koło wielkiej alei spomnikamy. I święta Dziewica i anieli bendom błogosławić, by senor także tam pszyszed.“



Piękna ukłękła, złożyła pobożnie swe białe ręce i do kogo modli się teraz?...

Całój ronczi s szaconkiem

Concepcion Allaracos
oddana służonca“.

Dzielną dziewczyną! Jak ona jasno wyczuła to, co leżało w głębi mego serca. Ani na chwilę nie wąpiła, bym mógł nie stawić się na to wezwanie. Pójdę tam stanowczo.

Dla formy zacząłem wyrzucać sobie niestosowność swego postępowania. Jakiem prawem mam przesładować swą sympatyą pannę Holsbein, która rano pożegnała mnie zupełnie? Tak, prawa nie mam, ale mam obowiązek, obowiązek liłości. Byłoby barbarzyństwem pozwolić, aby te piękne, niewinne, jasne, niebieskie oczy napełniały się łzami. Miłość zamienia się nieraz w pocieszyciela strapiionych. Jednym słowem list tej służącej wywarł na mnie takie wrażenie, jakiego nie doznawałem nigdy przy czytaniu nawet liścików, pisanych najpiękniejszymi rączkami.

Pobiegłem zaraz do telegrafu, wysłałem depeszę do *Timesa* i jak uczeń na wakacjach, postanowiłem zapomnieć o wszystkich swych obowiązkach. Precz z polityką, precz z redakcją, precz z tajemniczym dokumentem! Czas na to wszystko przyjdzie dopiero wieczorem. Aż do zmroku chcę tylko myśleć o panie Holsbein, o jej miłej twarzyczce, oświetlonej dwoma czystymi i smutnymi oczami.

Minąłem szybko San Geronimo i doszedłem do parku, zaczynającego się przy końcu tej ulicy. Zagłębiłem się zaraz w aleję ze statuiami i skręciłem na boczne, starannie utrzymane ścieżki ogrodu angielskiego. Teraz jednak ogarnęła mnie niepewność. Co ja powiem tej smutnej, młodej panie, gdy stanę przed nią. Wspaniała jest sobie ta Concepcion! Wszelkie trudności, nawet ortograficzne, przecina z niezwykłą pewnością siebie. Choć jest tak śmiała, chciałbym ją widzieć jednak na moim miejscu. Lecz ona i teraz nie byłaby zakłopotana. Powiedziałaby, co by jej przyszło na usta, nie troszcząc się, czy odpowiada to konwenansom światowym. Dla tej dziewczyny wszystko mieści się w tym aforyzmie.

— Co jest pożyteczne, o tem można mówić!

Co za korzyść w życiu być źle wychowanym! Podczas gdy mój umysł waha się między tem, czego pragnę i co krytykuje, nogi me posuwają mnie mechanicznie naprzód.

Nagle opanowało mnie tak silne wzruszenie, iż zadrzałem cały i musiałem stanąć. Na kilka kroków przede mną siedziała nieruchomo na kamiennej ławce pod baldachimem z gałęzi młoda panna i jej pokojowa. Niete z czołem pochylonym, przejęta myślami, które musiały być przykre, nie widziała mnie. Odrzuła jednak dojrzała mnie służąca. Na twarzy jej zamalował się uśmiech, a czarne oczy zabłysły. Widać było, że Concepcion jest zadowolona ze mnie. Czuję, że staje się ona oddaną mi przyjaciółką.

Mimo to poddałem się nowemu niepokojowi. Nie wiedziałem, czy mam cofać się, czy iść naprzód. Concepcion, jak zwykle, zadecydowała o mnie. Trąciła lekko łokciem swą panią, wskazując wzrokiem na mnie.

Panna Holsbein podniosła się szybko, a w rysach jej twarzy odbił się lęk, jakby sarny, napadniętej przez dzikiego zwierza. Uciekać w tym przepelnionym publicznością ogrodzie byłoby jednak to samo, co zwracać ogólną uwagę, wywoływać skandal. Zrozumiała, że nie mogła tego czynić i opadła z powrotem na ławkę.

W zachowaniu się jej, w oczach i całej postawie było jakieś przykre zakłopotanie, przestach i nieufność. Biedne dziecko! Byłem dla niej tym, który wiedział wszystko. Nie mniej jednak trudno było zacząć rozmowę. Jakie słowa wymówić, które nie byłyby dla niej bolesnymi, któreby nie powiększały jej wzruszenia. Nie mogłem już dłużej pozostawać na miejscu nieruchomy, jak jaka statua z sąsiedniej alei. Zbliżyłem się z głową pochyloną z szacunku, tak jak wierzący podchodzi do ołtarza. Postanowiłem zacząć od tego, na czem skończyliśmy rano i rzekłem na powitanie te słowa:

— Cześć, znaczy spodziewać się.

Kiwnęła przecząco głową, niepokój jednak, malujący się na twarzy, zmalował. Znowu przestawałem być dla niej obcym, by zostać przyjacielem.

— Dlaczego odpycha pani nadzieję? — rzekłem, zachęcony tem małym powodzeniem.

— Och! — odparła słabym głosem — każdy mógłby mi zadać podobne pytanie... Lecz pan, pan...

Znowu zeszedliśmy na ten śliski teren... Nie powinniśmy myśleć o tem... Było to przeciwstawieniem nadziei, a ja chciałem wzbudzić ją w niej.

— Więźniowi nie można mówić o więzieniu, lecz z pewnością sprawi mu się przyjemność, mówiąc o oswobodzeniu.

To zdanie moralisty Lergussona przypomniało mi się w samą porę i nadało nowy kierunek naszej rozmowie. Przez dziwny zbieg myśli opanowała mnie nieprzeczana chęć opowiedzenia jej legendy o Studni Maurytańskiej.

Zapewniało mi to możność dłuższej rozmowy o oswobodzeniu. Potokiem swych słów chciałem zasypać jej cierpienie... Przystępując do tej historii, nie miałem innego zamiaru, jak tylko ułagodzić smutek nieszczęśliwej Niety. Zdziwiłem się też bardzo, choć nie z niezadowolaniem, gdy m spostrzegł, do czego doprowadziło me opowiadanie.

— Sądzę, proszę pani — rzekłem — że nigdy nie można zrzekać się nadziei... Dowodzą tego nawet legendy, ta kwintessencja myśli ludzkiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).